

prof. dr hab. Stanisław Bereś
Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej
Uniwersytet Wrocławski

Wrocław 20.05.2020

UNIWERSYTET WARSZAWSKI
WYDZIAŁ POLONISTYKI
wpłynęło dnia 5.06.2020

**RECENZJA
PRACY DOKTORSKIEJ
MGR KORNELII SOBCZAK
PT. „KAMIENIE NA SZANIEC” ALEKSANDRA KAMIŃSKIEGO.
KSIĄŻKA, LEKTURA I LEGENDA (1943-2014)**

Duże przyjemności lubią mieć swoją cenę, co potwierdza niemałym rozmiarem (520 stron) rozprawa doktorska mgr Kornelii Sobczak, poświęcona „Kamieniom na szaniec” Aleksandra Kamińskiego. W naszych czasach, gdy doktoraty nagminnie zjeżdżają już poniżej 200 stron, musi on zwracać uwagę. Zwłaszcza, że to praca niebanalna, na wysokim poziomie, poznawczo odważna. Jest oczywiście sporą hipokryzją, gdy recenzent zaczyna od objętości, a sam 40 lat wcześniej napisał dwa razy grubszy doktorat niż ten, ale widocznie jest tego jakaś przyczyna, której nie należy demaskować przed czasem. W każdym razie autorka tej pracy nieraz będzie musiała udzielać odpowiedzi na pytania, jak można napisać kilkusetstronicową książkę na temat utworu, który liczył (w pierwszym wydaniu 124 strony). Jak jednak dowodzi historia kultury, utwory objętościowo skromne, kameralne, a nawet artystycznie mierne potrafią trafić na półkę z arcydziełami. Chociaż więc „Kamienie na szaniec” to książeczka szczupła, w ostatnim wydaniu ok. 150-stronicowa, a jej pozycja w literaturze polskiej, jest bardziej symboliczna niż artystyczna, nikt nie odważy się kwestionować jej roli we współczesnym kanonie klasyki, w dyskusjach nad pojmowaniem polskiego modelu patriotyzmu, etyki obywatelskiej i odpowiedzialności, a wreszcie jej pozycji w powojennym modelu edukacji. Stała wreszcie (od ponad 70 lat) obecność tej pozycji w narodowej wyobraźni, usprawiedliwia wzniesienie tak okazałego bastionu analitycznego, zwłaszcza że stawała się ona niejednym raz pretekstem do pryncypialnych dyskusji nad modelami polskości.

Przystępując do lektury tej dysertacji, odczuwałem ciężar, bo przypadła na trudny dla mnie okres (ubytki zdrowia, nadmiar nauczania zdalnego i innych obowiązków), a domagała się ona koncentracji i skupienia ze względu na ilość i wagę problemów, z jakimi się mierzyła, a także ze względu na swoją bezkompromisowość i pryncypialność w dyskusowaniu kulturowych tabu. Strażników legendy „Kamieni” liczne partie tej dysertacji, gdy uzyska kształt książkowy, bez wątpienia

doprowadzą do białej gorączki. Dla mnie jednak obcowanie z nią było przygodą ciekawą i pouczającą. Każdy kolejny jej rozdział przynosił ulgę i poznawczą satysfakcję, bo dotykał spraw, o których nieraz zdarzało mi się myśleć – często z niepokojem – ale zostawiałem je niezamknięte. Książka mgr Sobczak zmusiła mnie, by znów się z nimi zderzyć lub ujrzeć je nowym światłem.

Zanim do nich przejdę, aby uniknąć dysonansu pomiędzy uwagami i pochwałami, chcę powiedzieć, że praca Kornelii Sobczak nie pozostawia żadnych wątpliwości, co do jej oceny. Nie ma tu miejsca na rozterki, czy mamy przed sobą doktorat „statystyczny” czy wyróżniający się; czy jego autorem jest czeladnik, który potrzebuje jeszcze opieki, czy dojrzały już badacz, który może ruszyć własną drogą. Tu o tego typu dylematach w ogóle nie ma mowy. Przedstawiona do oceny rozprawa doktorska prezentuje się znakomicie, ujawnia umiejętność głębokiego czytania literatury i śmiałość w dotykaniu spraw trudnych oraz kontrowersyjnych. Jej autorka to badaczka „gorąca”, pełna temperamentu, z trudem znosząca wędzidło naukowości, więc niejednokrotnie posługuje się aparatem krytycznoliterackim, a nawet sięga po oręż publicystyki, bo nie unika sporów i polemik. Nie ukrywa się za maską metody, ale śmiało eksponuje swoje „ja”. Nie jest to postawa szczególnie dobrze widziana przez literaturoznawców starszej daty, ale ja nie mam z tym problemu. Choć w zakończeniu zapewne dorzucę jakieś „ale”.

W moim przekonaniu, mamy przed sobą badaczkę naprawdę utalentowaną, posiadającą ugruntowany warsztat filologiczny oraz wiedzę pozwalającą pracować na najwyższym poziomie merytorycznym, a jednocześnie konfrontować się ze zjawiskami artystyczno-ideowymi, które uważa za bliskie (lub wrogie) swoim poglądom i wyobrażeniom na temat ich funkcji społecznych oraz miejsca w życiu duchowym narodu w XX i XXI wieku. Praca jej ogarnia bowiem spory i dyskusje obejmujące spory szmat czasu (1943-2014), gdy punkty widzenia oraz ich polityczno-ideowe oświetlenia mocno się zmieniały. To badaczka o wyrazistym profilu światopoglądowym, którego nie ukrywa, lecz wręcz eksponuje.

Czytając pracę mgr Sobczak, wielokrotnie czułem się uderzony siłą i precyzją jej argumentacji, umiejętnością czytania „pod włos” uklepanych zdawałoby się na śmierć tekstów i wyciągania z nich wniosków, które ich autorów raczej by zdumiały; uwodziła mnie polemicznym sprytem i inteligencją, wreszcie elegancją i wyczuciem, z jakimi prowadzi swoje wywody na temat spraw naprawdę drażliwych. W jej ręku drewniany często wywód naukowy staje się narzędziem efektywnym, bo potrafi przy okazji zadbać o językową wykwintność (choć zdecydowanie przesadza z piętrzeniem układów stylistycznych, mnożeniem epitetów i określeń). Mówiąc wprost: ta praca ukazała mi nie tylko rzetelną i precyzyjną badaczkę, która dąży do chłodnej oceny faktów oraz utrwalonych w

słowach przekonań, ale również utalentowaną publicystkę (z zadatkami na pisarkę), która prześwietlając kultową książkę kilku pokoleń Polaków oraz sposoby jej rozumienia i czytania na przestrzeni siedmiu dekad, nie zapomina o wyrażaniu siebie. Robi to na trzy sposoby: prezentuje własną wizję zdarzeń, które stoją u jej genezy, przedstawia swoją ocenę tego, w jaki sposób ją rozumiano, oceniano, wartościowano, ale i manipulowano (z najlepszą intencją obywatelską), a wreszcie robi to, posługując się językiem noszącym wyraźne piętno jej osobowości.

Praca mgr Sobczak jest tak bogata problemowo, że siłą rzeczy zrodziła we mnie sporo myśli, czasem bardziej, czasem mniej zbieżnych z moim obrazem lub odczuwaniem omawianych kwestii, ale od początku do końca towarzyszyło mi przekonanie, że mam do czynienia z tekstem, któremu warto poświęcić uwagę. Zwracam na to uwagę, bo tam gdzie dotyka się kwestii trudnych, nie ma wniosków prostych i jednoznacznych, a więc nie wszystko da się zamknąć w komplementach. Niestety nie wszystkimi swoimi myślami będę się mógł podzielić, bo wtedy musiałbym napisać sążnisty artykuł, więc ograniczę się do tych najbardziej natarczywych, które nie opuściły mnie po zamknięciu ostatniej strony.

Jak przystało na recenzję dysertacji doktorskiej, wypada zrekapitulować jej zawartość. Składa się ona z sześciu rozdziałów, z czego dwa pierwsze, 50-stronicowe, poprzedzają cztery masywniejsze, liczące od 70 do 140 stron.

Autorka rozpoczyna od osobistych uwag na temat znaczenia, jakie „Kamienie na szaniec” miały w jej życiu oraz rosnącego wraz z dojrzwaniem poczucia, że jej odbiór coraz bardziej różni się od spojrzenia rówieśników, a przede wszystkim artykułowanych w edukacji szkolnej i opracowaniach przesłań, eksponujących sens i piękno patriotycznej ofiary. Jak wyznaje, uderzona była bogoojczyźnianymi kliszami tego normatywnego odbioru i jego intelektualną „płaskością”, brakiem refleksji na temat np. progresywistycznych aspiracji, jakie przyświecają jej bohaterom i autorowi, a wreszcie nieumiejętnością dostrzeżenia dewastującego psychicznie i moralnie obrazu wojny. To ustawienie „Kamieni” w roli obowiązkowej lektury, patriotycznego abecadła i przewodnika moralnego sparaliżowało, jej zdaniem, możliwość głębszego czytania książki, spychając ją do roli legendy oraz szlachetnej literackiej ramoty, a zarazem blokując szanse jej odważniejszego, krytycznego czytania. Stąd opór autorki i potrzeba, by spojrzeć na nią odważniej i „poddąć ją oglądowi w historycznym kontekście jej powstawania, by poddać namysłowi wartości i imponderabilia formacji kulturowej, która stanowiła dla dzieła i jego autora mentalne zaplecze”. Odwołując się do berentowskich kategorii biosu i logosu, jako dwóch sił walczących o kształt historycznej pamięci, przypomina więc o naturalnym

procesie nieuchronnego „pożerania” konkretnego przez mit, o przechodzeniu żywych faktów w ten wymiar kulturowy, w którym formowane są przez zbiorową wyobraźnię, a sposoby ich percepcji utrwala literacka tradycja. W wypadku narodowych dramatów mechanizm ten działa z wyjątkową siłą, bo dotyczy rozległych traum zbiorowych, które potrzebują kulturowego „opatrunku”. Jak on działa, pokazuje Sobczak na przykładzie – mierzącej się z pamięcią wojny – prozy Tyrmanda, Konwickiego i Białoszewskiego. Wszystko to zaś jest formą przygotowania gruntu pod nowe, podszyte nieufnością odczytanie „Kamieni na szaniec”.

Rozdział drugi, „W stronę autora”, Sobczak rozpoczyna rozważaniami na temat niejednokrotnie kwestionowanych wartości literackich „Kamieni na szaniec”, co w wypadku książki kultowej jest sporym problemem – zarówno dla czytelników, jak i badaczy literatury, bo z miejsca rodzi pytanie, na czym w takim razie opiera się jej kulturowa pozycja. Jest on kłopotliwy i dla autorki tej dysertacji, w końcu rzeczniczki tego utworu, więc tak zestawia opinie krytyków i literaturoznawców, by się wzajemnie buforowały, by oskarżenia o jego artystyczną „marność” jakoś zniuansować, poddać w wątpliwość, ująć w nawias wątpliwości. A ponieważ bohaterowie powieści mieli swoje pierwowzory, dziś już kanonizowane w kronice polskiego patriotycznego czynu, otwiera to niemałą przestrzeń, na której można rozcieńczyć ten niewygodny problem – w dociekaniach nad gatunkowością, proporcjami pomiędzy dokumentalistyką a literackością, splotami prozy rozwojowej, reportażu oraz XX-wiecznej hagiografistyki. Intencja autorki jest łatwo czytelna, bo szyta grubymi nićmi, co można zrozumieć, bo zmuszona do rzetelnej ewidencji bogactw stylistycznych i psychologicznych tej prozy oraz porównań z arcydziełami prozy, byłaby pewnie w nie lada opałach, więc szukając wyjścia z opresji i broniąc „Kamieni” przed klasyfikacją wśród przejawów patriotycznego panegiryzmu powołała się na świadectwo samego Kamińskiego, który wielokrotnie zarzekał się, iż swoich młodych przyjaciół nie idealizował i nie upiększał. Sugerowałbym w takich momentach ostrożność, bo jak pamiętamy, utrzymywał również, że jego utwór ma charakter mediumiczny, czyli niejako „podyktowany” przez swoich bohaterów.

Na szczęście autorka w pewnym momencie roztropnie wycofuje się z tego grząskiego terenu, zastępując pytanie, czy jest to utwór literacko wybitny/kiepski, pytaniem: jakiego typu pisarzem był Kamiński? I tu następuje ciekawa materiałowo partia, pokazująca go jako literata *sui generis*, eksploatującego chętnie gatunek charakterystyczny dla środowiska, w jakim działał – harcerską gawędę. I oczywiście jego pochodne. Sobczak omawia więc popełnione przez niego opowieści biograficzne, nieprzypadkowo akcentując ich parenetyczną funkcję, po czym przechodzi do analizy jego pamiętnika, wykazując się przy tym

wyczuciem, delikatnością, ale i zmysłem ironii. Przede wszystkim jednak konsekwencją w udowadnianiu, że pisarstwo Kamińskiego, nawet w postaci młodzieńczego *journal intime*, było projektem nie tracącym z oczu aspektu wychowawczego. Z tym, że przedmiotem eksperymentu był on sam, używał więc pisania do wyznaczania sobie ambitnych celów, stale się kontrolował i rozliczał, można powiedzieć, że wykuwał sam siebie. To ciekawy skądinąd projekt autoedukacyjny, a zarazem akt wiary, że przy pomocy słowa można modelować postawy ludzkie (również własne). Nie bez powodu tyle uwagi poświęca mu autorka tej pracy. Jak wiemy, „Kamienie na szaniec” były aktem powinności wychowawcy wobec poległych wychowanków, ale także poważnym projektem wychowawczym.

Rozdział trzeci, noszący tytuł „Autor”, przynosi zarys biografii Aleksandra Kamińskiego, doprowadzony do końca września 1939 r., a dokładnie mówiąc do przedednia powstania Szarych Szeregów. Autorka ukazuje naprawdę trudną wspinaczkę życiową harcmistrza, w której zbudował sam siebie i akcentuje inkluzywny charakter jego pojmowania idei harcerstwa oraz ruchu duchowego. Sporo uwagi poświęca więc jego stosunkowi do mniejszości narodowych (szczególnie zwraca uwagę na pozbawiony uprzedzeń stosunek do Żydów), co powodowało, że nie mógł liczyć na silną pozycję i wysokie funkcje w Kwaterze Głównej ZHP. Dalsze jego losy i dokonania są rozsiane po dalszych częściach tej pracy, więc później wyłania nam się, tu i tam, to jako redaktor „Biuletynu Informacyjnego”, to jako autor „Wielkiej Gry” oraz naturalnie „Kamieni na szaniec”. Jego perypetiom i zasługom jako twórcy koncepcji Małego Sabotażu oraz szefa Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawa AK, Sawicka poświęca mniej uwagi, choć ich nie lekceważy.

Rozdział czwarty, pt. „W stronę książki”, prawie stustronicowy, przynosi ciekawą rekonstrukcję środowiska, z którego wyłoniła się harcerska czołówka, która stała się fundamentem Szarych Szeregów. Jej liderzy spotkali się w elitarnym warszawskim gimnazjum im. Stefana Batorego, więc autorka przybliżyła je nam poprzez wspomnienia jej uczniów, jak i utrzymane w gombrowiczowskim duchu opowiadanie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Gimnazjum imienia Boobalka I”, prowadząc nas prostą drogą do kwestii oczywiście drażliwej tzn. w jakim stopniu ta szkoła była poddana wpływowi ONR-u oraz na ile jej ideologią mógł zainfekować się Jan Bytnar-Rudy. Jak pamiętamy bowiem, w 2013 r. doszło do spektakularnej próby zawłaszczenia go przez działaczy skrajnej prawicy, a i wcześniej w kilku publikacjach pojawiały się wzmianki pozwalające go lokalizować w tym kręgu. Sawicka wiele wysiłku poświęca temu, by przekonać nas, że jej bohater (autorka przyznaje się do bliskości) zaledwie otarł się o to (wrogie jej) środowisko i nie zdążył nasiąknąć toksynami nacjonalizmu. „Wyobrażam sobie” – pisze autorka – że [Rudy] rozmawia z jakimś kolegą lub charyzmatyczną postacią ONR-u,

że „sympatyzowanie z ONR-em było imprezą bardziej koleżeńska niż polityczną”, że hasła odnowienia Polski znajdują w nim odzew (bo jest młodym patriotą), a wreszcie „kombinuje ostrożnie”, że „akceptował antysemityczne elementy, lecz ich nie internalizował”. Dlaczego Sobczak tak sugeruje? Skąd to wie? „Tylko i wyłącznie dlatego, że trudno byłoby mi pogodzić się z możliwością przeciwną”. To próbka metod (zdecydowanie mało naukowych), jakimi posługuje się Sawicka, by przekonać nas, że jej bohater jest może nie całkiem bez skazy, ale chodzi tylko o wybaczalny błąd młodości. Bez antysemityzmu. Bo tego zapewne nie umiałyby mu wybaczyć. Na szczęście swoje emocjonalne wywody popiera także rzetelnymi dowodami merytorycznymi, co pozwala nam jej wierzyć, ale nie ukrywam, że w takich momentach odczuwam niepokój, jaki musi się obudzić w każdym historyku literatury, gdy widzi, że autor dysertacji otwarcie obsadza się w roli adwokata bohatera powieści (np. „s. 212: „Próbuję kolejnych strategii obronnych”; s. 213: „Możemy się uciec do innej strategii obronnej”). Nic dziwnego więc, że kilkanaście stron dalej Sobczak asekuracyjnie zapewnia: „nie przeprowadzam tego wywodu ani po to, żeby Rudego usprawiedliwiać, ani żeby go z poglądów rozliczać” (227). Więc po co? By „dotrzeć do perspektywy emicyjnej przedstawiciela środowiska harcerzy” i „lepiej zrozumieć rzeczywistość, w jakiej wyrastał”. Nie komentuję tych publicystycznych chwytów, sygnalizuję tylko, że rodzą mój opór.

W dalszej części tego rozdziału autorka skupia się nad historią polskiego harcerstwa, pokazując jego skautingowe korzenie i proces budowania własnej tożsamości, szczególnie uważnie biorąc pod lupę to, co wiązało się z duchem żołnierskiej karności, dyscypliny, zaradności, kultu sprawnego ciała i odwagi, co z jednej strony jest oczywistą rekonstrukcją świata wartości tej młodzieży, ale też rodzajem testu, czy i w tym obszarze nie można się dopatrzeć jakichś niezdrowych filiacji idei narodowego radykalizmu lub pospolitego zupactwa. Podobna podejrzliwość cechuje kolejne podrozdziały, a szczególnie część poświęconą biograficznej książce Kamińskiego o Małkowskim - „twórcy harcerstwa w Polsce”. Dzięki temu podejściu, precyzyjnie wyławia mechanizmy legendotwórcze (przepyszna historia przekładu „Scouting for Boys” R. Baden-Powella), jakie urzeźbiły obraz polskiego harcerstwa (stworzony oczywiście przez zasłużonych działaczy harcerskich). Opowiadając zaś historię powstania i perypetii wydawniczych „Andrzeja Małkowskiego”, autorka przenikliwie, a zarazem nieco przewrotnie, analizuje „metodę” parenetycznego pisarstwa Kamińskiego, które przyniosło mu środowiskową sławę. Szczególnie istotne wydaje mi się w tej partii pokazanie ciekawego splotu czynnika mitotwórczego, „udoskonalającego” rzeczywistość i fakty, a zarazem autokreacyjnego,

dającego alibi do wpisywania samego siebie i własnych ideałów w postaci, będącą bohaterem pisanej biografii.

Rozdział piąty, pt. „Książka”, otwiera – poprzedzone aptekarską ewidencją strat – pytanie, czy w kontekście pasma ofiar, które pociągnęła za sobą Akcja pod Arsenalem, mamy prawo uważać ją za „chwalebną kartę warszawskich oddziałów bojowych”. To trudne pytanie, które brzmi jak przykry dysonans w legendzie polskiego podziemia. Zwłaszcza, że badaczka przeprowadza również paznokciową wiwisekcję metod przesłuchania czy mówiąc wprost, torturowania Rudego, co musi rodzić kolejne pytania o kres wytrzymałości człowieka, który znajduje się na granicy życia i śmierci i tylko najwyższym wysiłkiem woli wstrzymuje przed złamaniem się. Sądzę, że Sobczak z pełną świadomością tego, co robi, wyeksponowała (wyrażony w „Wielkiej Grze”) pogląd Kamińskiego na temat sytuacji tych, którzy pękają w śledztwie, uświadamiając nam, że sytuacja masakrowanego Rudego była absolutnie tragiczna – gdyby nie wytrzymał, zostałby przez swoich towarzyszy skreślony (jako zdrajca). Inteligentnie również wydobyla „korekty”, jakich dokonał Kamiński, usuwając ze swojej książki rzeczy szczególnie drastyczne, zwłaszcza dotyczące fizjologii katowanego człowieka. „Nie ma litości dla ciał patriotów” – stwierdza bez ogródek autorka. Bohaterstwo to ich obowiązek, wymuszany twardym szantażem moralnym. Bezwzględność tych oczekiwań podkreśla jeszcze mocniej, przypominając, co pisał Kamiński w „B.I.” w czasie powstania w getcie, deprecjonując śmierć bez broni w ręku. Zdecydowanie za tym wszystkim czai się nie tęczy, ale mroczny, wilczy obraz podziemia i obowiązujących w nim zasad. Rzadko z takiej perspektywy i z taką dociekliwością pisano o tej książce.

W kolejnych partiach tego rozdziału autorka omawia raport Zośki, który stał się punkt wyjściowym „Kamieni na szaniec”, a w jego tle ukazuje działalność ich autora jako publicysty „Biuletynu Informacyjnego”, koordynatora działań Małego Sabotażu oraz autora „Wielkiej Gry”. Następnie szczegółowo rekonstruuje historię rodzenia się tytułu tej książki i uruchamianych przezeń symbolicznych znaczeń, prowadzących nas oczywiście do Słowackiego, romantyzmu, a w konsekwencji i do Marszałka, pokazując w jak gęstą siatkę tradycji wpisywał się Kamiński, nawiązując do idei patriotycznej ofiary poprzednich pokoleń i przejmując z ich rąk pałeczkę w tej sztafecie, by nadać w ten sposób głębszy sens okupacyjnej walce i śmierci. Notabene czytając tę część nie opuszczała mnie myśl, czy nazwisko autora nie stanowiło jakiegoś elementu symbolicznej gry, jaką pragnął uruchomić tym tytułem.

Potem następuje partia poświęcona pierwszym dyskusjom (K. Lipiński, J. Garztecki) po ukazaniu się „Kamieni na szaniec” i wątpliwościom, dotyczącym jej spłyceń (psychologicznych, jak i

społecznego tła zdarzeń), a potem zmianom (na pozór drobnym), jakich dokonywał Kamiński w kolejnych redakcjach książki. W efekcie, w zakończeniu tego rozdziału wracają trudne pytania, tym razem dotyczące naprawdę już znaczących pominięć oraz niemalże freudowskich braków: wygumkowaniu heroizmu kobiet (matek, sióstr, dziewczyn), które dostały się (w związku z akcją) w łapy gestapo, były torturowane, ale nie dały się złamać. Dlaczego nie znalazły się wśród bohaterów tej książki - pyta autorka? Z jakiego powodu nie pasowały do patriotycznego *tableau*? Dlaczego Kamiński, eksponując edukacyjny wymiar szkolenia harcerzy z Szarych Szeregów, skrzątnie schował pod sukmem problem przygotowywania ich do zabijania? Dlaczego wreszcie na kartach tej wiernej jakoby faktom, warszawskiej książki nie ma (poza jednym krótkim akapitem) getta i Wielkiej Akcji Likwidacyjnej, która pochłonęła ponad ćwierć miliona Żydów? Podkreślam wagę tych pytań, sam niektóre z nich sobie stawiałem już jako młody czytelnik, ale dziś rekapitułując je, sygnalizuję swój opór wobec kończącej ten rozdział tezy, że obojętność na los polskich Żydów to efekt konspiracyjnej „obsesji doskonałości i bohaterstwa”, które jakoby (z natury) realizuje się „za cenę cierpienia innych”. Czyli że koncentracja młodych szturmowców na własnym wojskowym morale ograniczała ich empatię. Trudno w tym miejscu nie przypomnieć autorce, że podobnym brakiem zainteresowania i współczucia wykazali się także ci, którzy z podziemiem i jej sprawami nie mieli nic wspólnego. Moralny, a pewnie i psychologiczny podtekst tej tezy jest co najmniej ryzykowny.

Ostatni rozdział (VI), najobszerniejszy, zawiera omówienie trzech poważnych dyskusji, dotyczących tej książki bezpośrednio lub mających z nią ten czy inny związek. Przykładem może być słynny spór o Conrada, który Sobczak prześwietliła w sposób oryginalny, stawiając nieoczywiste pytania o sposób czytania artykułu Jana Kotta, a również i samego „Lorda Jima”, w kontekście pokolenia wojennego. Wgłębiając się raz jeszcze w „O laickim tragizmie” oraz głosy polemiczne, wykazała, że tekstu Kotta nie czytano uważnie, przypisując mu tylko złe intencje, a prosta identyfikacja postawy conradowskiej z postawami konspiracyjnej młodzieży jest kluczem zbyt łatwym.

Następnie autorka pracy opisała jak „Kamienie...” utrwaliły się w oczach trzech autorów pokolenia 1930 (A. Janowski, J. Kuroń, B. Wachowicz) i jakie były tego skutki, a zarazem dokonała ciekawej filologicznie (choć „przegadanej”) analizy mechanizmu, który uczynił z tej książki pozycję ze ścisłego kanonu (J. Tazbir zaliczył ją do grupy 12 najważniejszych polskich książek na przestrzeni wieków), by przejść do dwóch spektakularnych i ognistych dyskusji: najpierw nad ekranizacją powieści R. Glińskiego, a potem (choć chronologicznie powinna być wcześniej) nad głośną medialnie wypowiedzią Elżbiety Janickiej dla PAP,

która wyraziła przekonanie, że legendarna przyjaźń głównych bohaterów powieści (a zatem i ich pierwowzorów) była nie tylko duchową wspólnotą towarzyszy broni, ale i uczuciem o charakterze homoseksualnym. Jak pamiętamy, skończyło się trzęsieniem ziemi i zwarciem szyków czcicieli narodowych świętości.

Kończąc rekapitulację ostatniego rozdziału, trudno nie zapytać: a co z odbiorem tej sztandarowo lekturowej pozycji w edukacji szkolnej? Przecież to jest największe pole do filologicznych dociekań, zwłaszcza że została ona napisana z myślą o patriotyczno-obywatelskim wychowaniu młodych Polaków. Czy i jak wypełnia tę funkcję? Jak fakt umieszczenia jej w kanonie gimnazjalnym, a nie licealnym, rzutuje na sposób jej interpretacyjnego „podawania” uczniom? A w której klasie omawiano książkę w czasach PRL i jak kazano/sugerowano ją naświetlać? Na ile nauczyciele trzymali/ją się sugestii zawartych w ministerialnych zaleceniach i wskazówkach do omawiania lektury? Niestety te kwestie znajdują się poza polem uwagi autorki, która w przedmowie do ostatniego rozdziału wyznaje: „Nie badam całościowej recepcji *„Kamieni na szaniec”*, a jedynie te dyskusje i sposoby lektury, które wydają mi się odsłaniać coś ważnego dla historii tego, jak kultura polska w XX wieku poradziła sobie z tą książką”¹. Nie ukrywam, że tylko ujęcie całościowe, a zatem obejmujące również jej 75-letnią recepcję szkolną (perspektywa nauczycielska i uczniowska), stanowiłaby satysfakcjonujące podsumowanie historii czytania tej książki. Autorka zarzeka się, że nie posiada do tego odpowiedniego przygotowania merytorycznego, ale przecież narzędzia analizy socjologicznej nie stanowią wiedzy tajemnej, której sprawny badacz nie umiałby posiąść i użyć w niezbędnym zakresie. Ale i bez tego można by bardzo wiele ustalić. W końcu istnieją ustalone przez ministerstwo „Podstawy programowe” (określające pożądany typ „wiedzy” i „umiejętności”) i wynikające z nich konsekwentnie „Programy nauczania”, gdzie bez trudu znajdziemy tzw. „pojęcia obowiązkowe”: dywersja, braterstwo, Mały Sabotaż, patriotyzm (Bóg, honor, ojczyzna), dom rodzinny, tradycje romantyczne. Istnieją w końcu także wydawane w czasach PRL-u i obecnie, szkolne opracowania lektur i epok, glosariusze, wreszcie serie edukacyjne w rodzaju „Lektury licealisty”, „Biblioteczka Opracowań” „Biblioteka Analiz Literackich” itp. Do tego wszystkiego nie są potrzebne metody analiz socjologicznych. Pomijam fakt, że wystarczy wpisać do wyszukiwarki internetowej hasło: *„Kamienie na szaniec” w programie szkolnym*, by znaleźć setki wyznań, jak wyglądają te lekcje. Większość z nich powinna wstrząsnąć mgr Sobczak.

Zbadanie, jaki model odbioru tej książki narzucali i narzucają poloniści oraz jak sprawdza się on w zderzeniu ze współczesną młodzieżą,

¹ Warto zaznaczyć, że również w XXI wieku, bo w końcu film Glińskiego i spór o Janicką to wydarzenia drugiej dekady XXI w.

to zapewne przygoda równie pasjonująca jak te, które oferuje nam ta książka. Tu bardzo wiele rzeczy jest do ustalenia i odkrycia, ale autorka wykonała *el pase de pecho*, odsyłając nas do socjologów, etnografów i psychologów. Nie ciągnę tej kwestii i nie myślę z jej powodu rozdzierać szat, choć moim zdaniem sprawa jest ważna, bo właśnie ta książka była właściwym miejscem do podjęcia tej kwestii. Praca Kornelii Sobczak jest bogata i dostarcza wiele materiału do refleksji, a ona sama wybrała jak wybrała, do czego ma prawo, więc mogę tylko wyrazić żal, że wątki te wpadną (albo nie) kiedyś w ręce znacznie mniej przenikliwego/ej badacza/ki.

Praca została zamknięta krótkim 10-stronicowym „Zakończeniem”, zachęcającym do odważniejszego czytania tej legendarnej książki i dostrzegania rzeczy ukrytych w niedopowiedzeniach, w cieniu lub na drugim planie – na przykład jako pozycji pozwalającej na wnioski o charakterze pacyfistycznym.

Jak wyznałem wcześniej, nie mogę napisać o wszystkim, więc skupiam się tylko na paru sprawach. Wczytując się w rozdziały, będące *de facto* literaturoznawczymi śledztwami w sprawach celowo niedopowiedzianych i niewygodnych, nie napotkałem niestety rozdziału, na który liczyłem, bo w moim przekonaniu powinien był znaleźć się w tym opracowaniu, jako jedna z najbardziej ukrytych, kłopotliwych i nieprzyjemnych spraw. Wyrażę tu opinię, której nigdy nie artykułowałem publicznie, choć nękała mnie już od pierwszej lektury „Kamieni na szaniec” (a czytałem je w wieku ich bohaterów). Już wtedy zdumiało mnie jak spontaniczna i niedopracowana była ta słynna akcja, a co więcej fakt (dla mnie oczywisty), że w pierwszym „podejściu” omal nie została przeprowadzona bez zgody dowództwa, a w drugim wyrwana mu z zębów niczym przysłowiowa kość. Ta zgoda, przypomnijmy, została wyrażona przez Jana Kiwerskiego („Lipiński”) 40 min. przed akcją (a jeszcze trzeba było ją przekazać telefonicznie), co oznacza, że oddział (ok. 28 ludzi) był rozstawiony na pozycjach i trzymał palce na spustach. Po raz drugi na przestrzeni trzech dni! Gdyby pociąg Kiwerskiego spóźnił się więcej, do zamachu doszłoby bez zgody dowództwa.

Ale przecież wiemy, że do tego zamachu miało dojść już w dniu aresztowania Rudego! Pomiedzy godziną siódmą, gdy wiadomość o aresztowaniu Rudego dotarła do Zośki, a siedemnastą, a więc w ciągu 10 godzin, został opracowany plan zamachu, a machina wojskowa wprawiona w ruch. W efekcie, operacja została doprowadzona do fazy, w której od pierwszych wystrzałów w centrum miasta młodych bojowców dzieliły tylko minuty (!). A przecież w ciągu tego dnia ostrzegali zagrożonych, opróżniali trefne mieszkania, pobierali w „punktach” broń, koordynowali niezliczoną ilość rzeczy. Do ataku na więźniarkę, jak wiemy,

tego dnia nie doszło, bo „Orsza” dosłownie w ostatniej chwili nakazał im zejść ze stanowisk. Można tylko żałować, że tak się stało, bo cel ataku byłby osiągnięty. Choć późniejsze skutki byłyby zapewne dla Zośki straszne. Ale to już inna, bo hipotetyczna, opowieść.

Ważne jest to, co się stało w chwilę po zejściu ze stanowisk: Zośka okłamuje swoich szturmowców, że zamach został odwołany², bo przyszła wiadomość, że w więźniarce nie ma Rudego (podczas gdy był). Jasno pokazuje to, jaki był stan umysłów i nerwów oddziału. Oni byli naprawdę gotowi do przeprowadzenia akcji bez jakiegokolwiek zezwolenia dowództwa! Chciejmy to sobie jasno uzmysłowić!

Autorka dysertacji – za Kamińskim i „Orszą”³ – podkreśla karność Zośki i jego oddziału, który zszedł z „gorącego” stanowiska w ostatnich minutach przed przyjazdem więźniarki, ponieważ otrzymali rozkaz odwołania akcji. Ja natomiast zwracam uwagę na coś zupełnie przeciwnego: cała ta akcja została dwukrotnie (!) przygotowana BEZ ŻADNEGO ROZKAZU, w czasie nieobecności właściwego dowódcy w Warszawie, na drodze absolutnej improwizacji.

Każdy kto ma jakiegokolwiek pojęcie o wojsku, wie, co to jest rozkaz w warunkach bojowych i co znaczy jego wykonanie lub niewykonanie, albo podjęcie działań na własną rękę. A tu rzecz dotyczy konspiracyjnej struktury wojskowej w czasie okupacji oraz akcji tak poważnej, jakiej wcześniej nie przeprowadzano w centrum stolicy. A tu trzydziestu narwańców z bronią (oraz ok. 70 współdziałających) udaje się w zaplanowane miejsce, by odbić kumpla. Używam tego sformułowania celowo. Mówiąc wprost: Zośka wraz ze swoim oddziałem byli w trakcie realizacji absolutnej samowolki, za jaką odpowiedzialiby sądami wojskowymi, a być może i wyrokami.

Naprawdę bardzo żałuję, że mgr Sobczak nie podjęła tego wątku, bo jego waga jest nie do przecenienia, a było wiele poważnych powodów, by w marcu 1943 r. go schować pod dywan. Bunt w wojsku, w warunkach frontowych, a za takie należy uważać okupowaną Warszawę, to albo kula w łeb, albo zamknięcie sprawy na cztery spusty i wytarcie z pamięci. Bo co by było, gdyby inne oddziały i formacje też zaczęły działać na własną rękę?! Gdyby zaczęły kwestionować kompetencje i zaangażowanie dowódców. Z punktu widzenia dyscypliny wojskowej akcja pod Arsenalem to absolutna afera!

Przypomnijmy raz jeszcze, jak wygląda zdobywanie „zgody” dowództwa na tę akcję. Oto Zośka negocjuje „z Naczelnikiem Szarych Szeregów oraz ze swoimi dowódcami z Kedywu”. Czyli z kim? Z „Orszą”?

² Notabene nie przez dowódcę Oddziałów Kedywu KG AK, ale przez niższego stopniem i rangę dowódcę.

³ Stanisław Broniewski, komendant Grup Szturmowych w stolicy, dowódca akcji pod Arsenalem.

„Nowakiem” (Marciniakiem), „Mietkiem” (Kurkowskim⁴)? Przecież Kiwerskiego jakoby nie ma w Warszawie... Nie ma tu jasności. Ale jest przynajmniej jasność, jak z grubsza wyglądały te „rozmowy”:

„Mówiono im [czyli kto komu⁵], że Rudy przecież nie jest pierwszym i nie ostatnim. Mury Pawiaka i Szucha pochłonęły tysiące ofiar. Nie odbijano wielkich przywódców Polski Podziemnej, nie odbijano aresztowanego niedawno Delegata Rządu, nie odbijano największych polskich polityków, wojskowych, uczonych. Lecz na perswadujących spoglądają **nieustępliwie** oczy. – To prawda, że tych wszystkich naprawdę wielkich i ważnych nie odbijano, ale Rudego **m u s i m y** odbić („Kamienie...”, s. 102).

Dla porządku dodać należy, że w głowie dowódców i Zośki nie pojawił się pomysł odbicia, aresztowanego cztery dni przed Rudym „Heńka”, dowódcy hufca „Praga” (Henryk Ostrowski), wziętego wraz ze świeżo poślubioną żoną. To ważne przypomnienie, bo podobnie jak bohater „Kamieni...” był torturowany i konfrontowany (Bytnara nie wydał, choć Niemcy zapewniali go, że na niego „sypie”). O czym to wszystko świadczy? Moim zdaniem, że siła uczuć (zgódźmy się na ten przymiotnik) przyjacielskich była tak wielka, że wszystkie te argumenty były jak grochem o ścianę, nie przekonali Zośki, który **mimo to** (!) zwołał swój oddział, obsadził nim punkty bojowe i... był o minuty od otworzenia ognia. Opamiętał się w ostatniej chwili. I pewnie do końca swego krótkiego życia żałował.

Jego dowódcy odetchnęli, bo sami drogo by zapłacili za ten akt wojskowej samowoli, ale problem nie minął. Zośka i jego oddział **nadal** parli do akcji, bo...? Najlepszy przyjaciel i kumpel **m u s i** być odbity. Wobec tego prostego, nieznoszącego sprzeciwu żądania argumenty i racje dowódców były nieskuteczne. Wszystko wskazuje na to, że przez trzy kolejne dni próbowali odwlekać sprawę, rzekomo (albo naprawdę) oczekując na powrót Kiwerskiego, bo decyzja ich przerastała, a zdeterminowany oddział Zośki **po raz drugi** montował akcję. Dowódcy wstrzymywali ich do ostatniej chwili, licząc, że problem się cudem rozwiąże. Widząc jednak, że może nie da się zatrzymać napiętej cięciwy zdarzeń, a zamach się i tak odbędzie, bez ich pozwolenia (za co by zapłacili głowami), na wszelki wypadek odebrali Zośce dowództwo akcji i oddali je w ręce „Orszy” (jako bardziej przewidywalnemu, wszak już raz

⁴ Mętnie prezentuje się rola bezpośredniego zastępcy Kiwerskiego – Mieczysława Kurkowskiego („Mietek”), który chyba w ogóle nie pojawia się w „Kamieniach na szaniec”...

⁵ Co znaczy to „im”, skoro Zośka wg. Kamińskiego negocjował sam? Co znaczy „mówiono”, skoro rzekomo wiemy, na kogo naciskał?

spacyfikował akcję). Co było potem, wiemy. Legendarna akcja to tak naprawdę jedno wielkie nieszczęście.

Sobczak słusznie więc pisze o jej fatalnych skutkach. Rudy umarł na rękach Zośki, Alek i „Buzdygan” zginęli od ran, „Hubert” został ujęty i zakatowany przez gestapo. Przez przypadek w zamachu od kul zginęła ciotka Zośki oraz brytyjska agentka Maria Schiffers. Uwolnieni z więźniarki zostali pozostawieni na łasce losu (wśród nich storturowany „Heniek”), więc część z nich (obawiając się o swoje rodziny) wróciła na Pawiak, by potem wylądować w obozach. Pracowników Muzeum Miejskiego w Arsenale, którzy się nimi zaopiekowali, zatłuczono na śmierć. Ojciec Rudego przeżył przesłuchania, ale w zginął obozie. Storturowano na Szucha rodziców i trzy siostry „Tytusa”, a także kilka osób z mieszkania Zdanowiczów. I oczywiście rozstrzelano 140 więźniów Pawiaka. Posępny to bilans, tymczasem w imaginariu narodowym to tryumf polskiego oręża i ducha. Słusznie powyciągała to wszystko Sobczak. Ale niesłusznie przegapiła to, co w tej całej historii jest najważniejsze i również domaga się wydobycia z cienia – ewidentny bunt podziemnej formacji, jej przeciwstawienie się woli dowództwa i przeforsowanie (szantażem faktów i decyzji) tej fatalnej w skutkach akcji.

Czy można sobie wyobrazić, że w 1943 r. taki jej obraz (czyli wojskowej samowolki i przyczyny serii katastrof ludzkich) mógł utrwalić się w świadomości oddziałów podziemnych? Jako dowód, że gdy dowódcy są kunktatorscy i nieudolni, należy brać sprawy w swoje ręce? Że jak się czeka na decyzje, a nie działa natychmiast, to dowódcy spaprzą sprawę? Nie, ta akcja musiała stać się bohaterską legendą karnych szturmowców⁶. To było w absolutnym interesie dowództwa. U jej podłoża jednak, w moim kamiennym przekonaniu, stoi bunt młodzieżowej formacji podziemnej. Który został zatuszowany i polakierowany na wieki wieków amen. A z akcji uczyniono sztandar chwały.

Niestety nie ma miejsca na dalsze wałkowanie tej sprawy. Mogę co najwyżej wyrazić żal, że autorka, która ujawniła wielki talent w zaglądaniu pod dywan narodowych mitów oraz w przewracaniu go na drugą stronę, nie poszła tym tropem. W ten sposób przez kolejnych 20 lat obowiązywać będzie „przyklepana” po akcji wersja bohaterska, a nie obraz podziemnej anarchii czy jakiegoś, *horrible dictu*, liberum veto. Pierwszym zainteresowanym był zresztą sam Kamiński, który tak zrelacjonował tę historię, by świadczyła o harcerskiej karności i dyscyplinie. Ale już - broń Boże! - nie o zdeterminowanej, głuchej na argumenty, walce o kumpla (choć na Pawiaku byli również inni kumple-harcerze). I nie opowiadała o tych, których „przy okazji” zabito i

⁶ Warto przypomnieć symptomatyczne, cytowane przez Sobczak, zalecenie F. Bialkiewicza, towarzyszące egzemplarzowi „Kamieni na szaniec” przesłanemu opatowickiej formacji Szarych Szeregów: „Niech Komendant SS Podkowiec dobrze pilnuje chłopców, by po przeczytaniu książki nie zaczęli akcji u siebie na własną rękę na wzór Wojtka i Czarnego i ich kolegów”.

storturowano. W końcu najważniejszy był aspekt wychowawczy: zbudowanie legendy, której aureola wykarmi harcurskie hufce szturmowe, które pójdą do powstania – Zośka, Parasol, Wigry.

Gdybym był młodszy i wierzył, że moje słowa mają siłę przekonywania, zakończyłbym tę partię wywodu apelem, by w wersji książkowej autorka dopisała rozdział/podrozdział na ten temat, ale szczerze mówiąc, w ich skuteczność nie wierzę. Piszę to więc sobie a muzom.

Jak wspomniałem wcześniej, w końcowej partii książki, dotyczącej (domniemanego lub prawdziwego) homoerotycznego związku Rudego i Zośki, mgr Sobczak odtwarza historię namiętnej dyskusji, rozpętanej wypowiedzią Elżbiety Janickiej. Kategorycznie pisze, że „Kamienie...”, pamiętnik Zośki i „źródła z epoki” (?) „wręcz krzyczą o miłości”, a dynamika ich relacji „nie jest dynamiką koleżeństwa, jest dynamiką romansu”. Mówiąc krótko, autorka dokłada wielu starań, by potwierdzić pogląd Janickiej, której jest niezłomną sojuszniczką. Choć nie jestem stroną w tej dyskusji, z przekąsem powiem, że podnosi każdy freudowski pyłek z podłogi, rozkłada na czworo każdy gest bohaterów tej książki (np. trzymanie się za ręce na łożu śmierci), każdy wreszcie możliwy kontekst czy plotkę (np. wyznanie sąsiada prof. Głowińskiego), byle tylko uprawdopodobnić tę wersję. Po stronie argumentów pojawiają się nawet książki Janickiej („Festung Warschau” i „Przemoc filosemicka”) i dygresje na temat Keret House. Próbuję nie ironizować, ale bardziej wartościowa i ciekawa w tej historii wydaje mi się analiza języka, temperatury i polemicznych strategii obrońców normatywnego charakteru związku bohaterów „Kamieni” niż wątle „dowody w sprawie”.

W jakim celu w ogóle Sobczak to robi? Bo jest astralną bliźniaczką Janickiej? Bo jest absolutnie przekonana? Wszak dowody są nad wyraz wątle i jak sama przyznaje, niektóre są nawet z gruntu i logiki tzw. czytania paranoicznego czyli przyjmowania za pewnik tego, czego w tekstach *expressis verbis* nie ma. Więc dlatego, że „włączenie do kanonu bohaterów narodowych młodych” nienormatywnie przyjaźniących się mężczyźni to szansa na „ożywienie kanonu”? A może dlatego, że to niezły figiel wobec obrońców świętego płomienia narodu, a także dobry prezent dla środowisk tęczyowych? Pewnie wszystko po trochu.

Bardziej mnie jednak intryguje, dlaczego autorka tak męczy się z pośrednimi dowodami, gdy pod ręką jest tak kapitalny argument jak „podejrzana” przyjaźń Gajcego i Stroińskiego, której „dynamika” ma także cechy gwałtownego romansu, a na dodatek istnieją relacje o ich (od pewnego momentu) nierozłączności, są czułe słowa w listach o wzajemnym przywiązaniu, są ich wspólne zdjęcia w piżamach (przy śniadaniu) z kilkudniowego wypadu do Konstancina, jest wreszcie powrót

Gajcego w czasie powstania na podminowaną placówkę, ponieważ został w niej Stroński, a w chwilę później wspólna śmierć w eksplozji. Jakież to świetny dowód na powszechność homoerotyzmu bohaterów polskiego podziemia.

Powiem, tytułem anegdoty, że gdy moja instytutowa koleżanka, prof. Urszula Glensk, zobaczyła wspomniane zdjęcie Gajcego ze Strońskim, bez wahania orzekła, że to geje. Nie potrzebowała już żadnych innych dowodów. Do dziś jest gotowa za to dać głowę. Aby było jasne, dodam, że taka wersja w niczym by mi nie przeszkadzała, choć jej nie lansowałem. W wersji hetero- i homoseksualnej obaj ci poeci są dla mnie równie ciekawi.

Myszę jednak, że ciekawszym tropem od dowodzenia tych w końcu mocno hipotetycznych (choć efektownych medialnie) możliwości, byłoby głębokie źródłowo zbadanie dwóch związanych z tym kwestii. Po pierwsze, języka uczuciowego w polskiej epistolografii, intymistyce i pamiętnikarstwie lat międzywojennych oraz w czasie okupacji. Nie od rzeczy byłoby też zanalizowanie zachowań i form manifestowania męskiej bliskości w relacjach rodzinnych, miłosnych i przyjacielskich. Jest więcej niż prawdopodobne, że badania te ujawniłyby zaskakujące podobieństwa, bo polski „język uczuciowy” jest zastanawiająco ubogi w porównaniu np. z językiem francuskim czy włoskim. Przypuszczalnie język uczuć i zachowań miłosnych oraz przyjacielskich wiele sobie zawdzięczały. Nie wykluczam, że ich pień był wspólny. Mnie osobiście nieraz zdumiewało, jak czułościowo pisali do siebie mężczyźni w starych dziennikach, wspomnieniach i listach. Dopiero powojenne filmy hollywoodzkie, lansujące kult „szorstkiej” przyjaźni, bezpowrotnie zmieniły ten model. Istnieją poza tym liczne teksty literackie autorów urodzonych przed wojną, w których napotykamy sceny przyjacielskie, które obecnie z miejsca kojarzą się nam homoerotycznie, choć ich autorzy nie mieli takich intencji. Po prostu „piszą z pamięci” – tak „niemęsko” zachowywali się wobec siebie bliscy sobie duchowo mężczyźni w czasach swej młodości. Pewnie nie wszyscy byli gejami lub kryptogejami.

Dobrym przykładem jest twórczość Konwickiego, w której często pojawia się postać przyjaciela, który jest kimś w rodzaju natrętnego wielbiciela czy wyznawcy głównego bohatera, robiącym takie awanse uczuciowe bohaterowi, że ten się czuje nimi zażenowany. Zapytany o tę kwestię pisarz, w „Pół wieku czyścica” odpowiedział, że odreagował w ten sposób na pewien typ wyznawczych, oślizgłych form przyjaźni przedwojennych, które drażniły go nienaturalną temperaturą emocji. Żadne homoerotyczne podteksty jednak Konwickiemu nawet nie przychodziły do głowy, irytowała go ich miękkość.

Drugi wątek, który wart byłby zbadania w związku z tym tematem, to – ważny w tradycji kultury – model specyficznej przyjaźni/związku

(nierozłączności, miłości, lojalności, gotowości wspólnego pójścia na śmierć itp.) par wojowników. Moim zdaniem, to niezłe tło do refleksji na temat natury związków uczuciowych ludzi, którzy funkcjonują w sytuacji permanentnego zagrożenia życia i walki, w której wzajemnie się wspierają i chronią. Czyli tak, jak było z naszymi młodymi parami konspiratorów z Szarych Szeregów i Dyonu Motorowego. To w ogóle temat na wielką książkę z zakresu antropologii kultury, która zaczęłaby się oczywiście od postaci Achillesa i Patroklesa, i szła dalej poprzez Aleksandra Wielkiego i Hefastiona, króla Edwarda II i Piersa Gavestona, Henryka Walezego i... (nie znamy nazwiska), króla Jakuba I i jego pazia Roberta Carra, Ludwika XIII i Saint-Simona (ojca), króla Fryderyka II i... (brak nazwiska), Jakuba Sobieskiego (syna) i Wolskiego oraz Wyhowskiego, gen. Józefa Bema i Sándora Petőfię, Ludwika Bawarskiego i jego koniuszego Ryszarda Horninga, Wilhelma II i hrabiego Eulenburga, króla Gustawa V i rzezimieszka Kurta Hajjby. Prawdopodobnie do tej listy należałoby też dorzucić Adolfa Hitlera i Ernesta Röhma (później Rudolfa Hessa). Do pełnej ewidencji tego typu par na pewno brakuje wielu, ale pewnie łatwo byłoby je uzupełnić lekturą „Homosexuality and Civilization” Louisa Cromptona.

Przyjrzenie się ewolucji modelu związku dwóch wojowników, władców i ich zauszników, mężów stanu oraz ich politycznych sojuszników czy pupili, który często balansował na granicy homoseksualizmu albo był jego ważnym elementem, na pewno stanowiłoby ciekawsze tło niż detektywistyczno-psychoanalityczne dociekania, z których w sensie praktycznym niewiele wynika. Rzucam tu tylko roboczą intuicję, ale zapewne łatwo byłoby też odnaleźć współczesne pary „wojowników”. Na przykład wśród sportowców: Irena Kirchenstein i Teresa Kłobukowska, piłkarka Magan Rapinoe i koszykarka Sue Bird, Katarzyna Skowrońska-Dolata Katarzyna Skorupa (siatkarki), Katarzyna Skorupa (ta sama) i Paola Egonu; dwukrotni złoci medaliści Robert Sycz i Tomasz Kucharski (wioślarze), Edward Jancarz i Zenon Plech (żuźłowcy). Gdyby poszerzyć sito kwalifikacyjne, można by ujrzeć innego typu pary: Wacław Kisielewski i Marek Tomaszewski (pianiści), Jerzy Grotowski i Ryszard Cieślak (też Ludwik Flaszen), Günter Grass i Marcel Reich-Ranicki, Ludwik Hirszfild i Feliks Milgrom, Carl Bernstein i Robert Woodward (dziennikarze, afera Watergate), Winston Churchill i Anthony Eden, gen. Francisco Franco i późniejszy król Juan Carlos, Lech Wałęsa i Henryk Mażul. A gdyby ktoś kochał skomplikowane i niecodzienne śledztwa to może nawet Mahatma Gandhi i Jawaharlar Nehru...

Patrząc na sprawę Rudego i Zośki z tego typu perspektywy, rzecz wydałaby mi się bardziej ciekawa, niż dochodzenie czy Zawadzki miał

dziewczęcą urodę albo czy trzymał skatowane (podkutymi butami) dłonie Rudego z intencją erotyczną, czy nie.

Jest jeszcze jedna kwestia, której chciałbym poświęcić chwilę uwagi. Ma ona związek z częstym w tej pracy eksponowaniem autorskiego „ja”. Tym razem jednak nie chodzi o emocjonalny aspekt tej obecności, choć ma z nim związek, ale o jego wymiar światopoglądowy. Znamy autorów prac naukowych, nieraz na temat spraw kontrowersyjnych i bolesnych, którzy pozostają niewidoczni, bo nie eksponują własnych poglądów, ale są i tacy, którzy wychodzą z kombinezonu naukowości i „zajmują stanowisko”. Kornelia Sobczak jest autorką zdecydowanie drugiego typu i to z aspiracjami „frontowymi”. Nie izoluje się w swojej naukowej samotni, lecz żyje społecznymi emocjami, przenosząc je do swych badań. Jej książka jest głosem w konflikcie światopoglądowych i politycznych racji, artykułowanych w przestrzeni publicznej. Łatwo zauważymy w jak wielu miejscach tej pracy wybija np. święte oburzenie i najgłębsza złość na kulturową dyskryminację kobiet i ich spychanie na margines (co widzimy stale, choć skończyła się druga dekada XXI w.). Ilekroć pisze o ich obrazie w analizowanych dziełach (filmowych, literackich), temperatura dyskursu od razu rośnie. Autorka ma oczywiście rację, bo tam, gdzie pojawiają się (pisane zwykle z dużej litery) „męskie sprawy”, mamy na ogół do czynienia z kulturowym skandalem, ale jej emocjonalne podejście do sprawy powoduje, że wszystkie te miejsca zabarwiają się publicystyką i charakterystycznym dla niej językiem. Niestety nie jest to retoryka dyskursu naukowego. Znika chłód narracji, tolerancja dla przeciwnych jej punktów widzenia maleje, a temperatura rośnie. Co więcej, wkracza język sporu i dysputy, pojawiają się chwytły dziennikarskie. Równie żywych emocji autorka nie próbuje też poskramiać, ilekroć pisze o przemilczaniu holokaustu i przejawach antysemityzmu, we wszystkich jego wersjach – od tzw. „łagodnego” („ludowego”) po zbrodniczy. Ton „wojenny” pojawia się oczywiście w tej książce też tam, gdzie referuje przejawy instrumentalnego politycznie, „użytkowego” traktowania patriotyzmu, zarówno w jego historycznych aplikacjach z czasów PRL-u, jak i obecnych. Tych pól, na których autorka staje w szranki z podniesioną przyłbicą światopoglądową, jest naturalnie więcej, wspominać akurat te trzy, bo same „wpełzają mi” na klawiaturę. Nie ukrywam, że w takich momentach lektury dysertacji mgr Sobczak odzywał się za moimi plecami głos moich naukowych mistrzów z uniwersytetów Jana Kazimierza czy Stefana Batorego, i pytał z troską, czy to jeszcze literaturoznawstwo, czy już kulturowo-polityczna agora?

Nie mam ochoty odpowiadać na to pytanie, bo od czasu do czasu poddawałem się emocjom autorki i umiem uszanować jej zajadłość w walce o racje etyczne. Czy możliwe jest rozważanie tych spraw całkowicie

na chłodno, językiem wysterylizowanym z publicystyki i napięć kulturowej wojny? Naturalnie możliwe, ale wszystko ma swoją cenę. Dzięki swym wylotom w publicystykę, doktorat Sobczak nie jest męczącą piłą naukową, ale pasjonującą i atrakcyjną lekturą, zmuszającą czytelnika do określenia się, ustalenia własnej pozycji w podejmowanych kwestiach.

Nie chcę być w tych sprawach sędzią ani doradcą, bo każdy autor musi sam rozważyć, na jaką głębokość chce wyjść ze świata nauki i jego myślowych procedur i wejść w świat publicystyki. Inna jest kalkulacja autora przedstawianej do oceny dysertacji, inna autora książki krytyczno-literackiej, walczącej o uwagę czytelnika. W obu wypadkach odradzam jednak autorce tak wyraźne pozycjonowanie się w konstelacji aktualnych dyskusji politycznych oraz emocjonalne reagowanie na obecne sposoby uprawiania polityki historycznej. Mam przekonanie, że prace naukowe powinny być budowane tak, by nie dezaktualizowały się, ilekroć kontekst polityczny wygasa. *Scientia longa, politica brevis*. Praca naukowa nie powinna zgłaszać się niczym gorliwy prymus do komentowania bieżących strategii kulturowych władz i angażować w to emocje. Dziwna byłaby to nauka, gdyby zmieniała swoje instrumenty i zasady przy każdej zmianie ekipy władzy.

Na początku tej recenzji przywołałem kwestię objętości tej pracy. Nie całkiem niewinnie, choć generalnie uzasadnia ją waga poruszonych kwestii. Wiemy jednak, że ten sam cel można uzyskać środkami skromnymi, nie rozgadując się przesadnie, ale można też tak szeroko rozwinąć front narracji, by wchłonąć przy okazji wszystkie kojarzące się z głównym problemem tematy. Wtedy nieuchronnie pojawić się muszą pytania o ich niezbędność lub funkcjonalność. Na przykład, czy są potrzebne w tej książce tasiemcowe, dwudziestostronicowe rozważania o „metodzie” i sztuce narracyjnej (niezbyt cenionej przez autorkę) Barbary Wachowicz? Czy wśród rozważań na temat natury uczuciowego związku Rudego i Zośki potrzebna jest 9-stronicowa partia na temat „Przemocy filosemickiej”? Albo czy jest sens tak szerokiego, obejmującego 23 strony (415-438) rozwodzenia się nad pamiętną lokalizacją „Kamieni” na liście dwunastu dzieł charakteryzujących umysłowość i postawę kilku pokoleń Polaków? Tak naprawdę, do eseju Tazbira autorka „zagląda” dopiero na stronie 428 czyli po 13 stronach dywagacji. Wprawdzie zawierają porządną analizę kontekstów wypowiedzi historyka, ale jej plon poznawczy nie jest wart tak rozkorzenionego badania. Sama autorka zresztą na koniec tej partii przyznaje, że jej „podróż do roku 1988 w poszukiwaniu kontekstu okazała się jedną z tych, w których droga lepsza jest od zajazdu”, a „próba zbudowania dramaturgii skończyła się spektakularnym fiaskiem, a napięcie rosło tylko po to, by ująć raczej ze skomleniem, niż hukem”. Ta zdolność do autoironii jest oczywiście

sympatyczna, ale tutaj służy jako tarcza, broniąca filologiczne gadulstwo. Pragnę uświadomić, że tylko te trzy (wymienione powyżej) partie dygresyjne zajmują w tej pracy ok. 50 bitych stron, co znaczy, że jest to 10% jej pełnej objętości. A przecież wymieniam tu tylko trzy takie „węże morskie” (termin ze „Sposobu na Alcybiadesa”). Zastanawiam, ile stron uskładałoby się, gdyby je wszystkie zliczyć z całej pracy?

Naturalnie wiem, że z perspektywy młodego autora, wszystko to zdaje się niezbędne i ściśle związane z wątkiem głównym. Takiej potrzebie wszystkoizmu ulegają zresztą czasem doświadczeni badacze. Z upływem lat ta pewność gaśnie, ale refleksja przychodzi dopiero wtedy, gdy rozprawa funkcjonuje już jako książka i niczego się zmienić nie da. Nie mam serca, by namawiać autorkę do poskromienia szlachetnego (bo opartego na świętym przekonaniu, że wszystkie konteksty i dygresje są potrzebne) gadulstwa, gdyż wyczytuję z jej pracy niezdolność do kompromisów. Sam pamiętam swoją wściekłość, gdy finansowe realia zmusiły mnie do skrócenia o połowę doktoratu i habilitacji, by mogły ukazać się drukiem. Dziś nie uważam już, by spotkała mnie poważna krzywda, choć wówczas czułem się sponiewierany. Tak naprawdę nie o objętość książki chodzi, ale jej myślową funkcjonalność, jasność wyводу, logikę konstrukcji i wzajemną proporcję wniosków, wreszcie o ilość rzuconego na stół materiału dowodowego. Do budowy solidnego domu jednym wystarczy skromny kawałek ziemi, drudzy dla jego okazałości i urody wytną spory kawał lasu. Ci pierwsi dumni będą z jego użyteczności i funkcjonalności, drudzy z ambicji i skali przedsięwzięcia; dla jednych walorem będzie dopasowanie do potrzeb, dla drugich rozmach.

Pracę doktorską mgr Kornelii Sobczak warto komplementować i wystawiać jak najlepsze rekomendacje, ale o jej przyszłym „życiu”, jako książki na czytelnicznym rynku, myślę z troską. Do tak przykrych – jak ongiś moje – decyzji redaktorskich jej nie namawiam, bo z góry czuję ich nieskuteczność. Ale przynajmniej rekomenduję likwidację sporej ilości powtórzeń, szczególnie pomiędzy tekstem głównym a przypisami, choć i w samym tekście głównym odnajdziemy ich niemało, nieraz wyrażanych w tych samych słowach. To nieco poprawi sytuację, choć tak naprawdę problemem zasadniczym jest dygresyjność i menadryczność tej pracy, wynikająca z jej zachłanności we wchłanianiu – niczym odkurzacz – wszystkiego „po drodze”. Jedni ujrzą w tym pewnie pedanterię i akrybię, drudzy syndrom gadulstwa, trzeci pasję i przyjemność spierania się, komentowania i snucia opowiadania. Na szczęście w tej sprawie nie muszę być arbitrem.

Tak jak istnieje gadulstwo w sensie potocznym, tak samo istnieje gadulstwo naukowe. Nie są identyczne, bo w drugim przypadku nie tylko o ilość słów i zdań chodzi. Ujawnia się ono w rozlewności, mnożeniu wywodów i argumentów, w paznokciowym operowaniu detalami i

układaniu ich w efektowne mozaiki, w anektowaniu wątków pobocznych i kontekstów, w ściganiu każdej efektownej asocjacji kulturowej, w uporczywości dowodzenia aż „do końca” (nigdy za mało argumentów!), w delectacji własną pomysłowością i sprawnością, wreszcie w wykładaniu na stół praktycznie wszystkiego, bez surowej selekcji materiału. Z pewnego punktu widzenia są to zalety, więc istnieje gatunek autorów, którzy są z tego dumni. Z punktu widzenia redaktorów i czytelników, bywa inaczej.

Generalnie w metodzie pisarskiej Kornelii Sobczak dostrzegam pewien rodzaj upajania się własnymi słowami, ciągnięcie fraz ponad konieczność, często dla ich efektu i urody (np. rozbudowane ciągi wyliczeniowe, mnożenie epitetów, układy paraleliczne, zdania antytetyczne (np. półstronicowe), autokomentarze nt. realizowanej właśnie strategii, nadbudowywanie metatekstów). Nie przeczę, że autorka potrafi to robić, nawet mnie to (jako rodzaj językowej gry) wciąga, ale wszystko musi mieć swoje proporcje i być podporządkowane nadrzędnej funkcji. To w końcu dysertacja naukowa.

Ta autorka lubi pisać (argumentować, dowodzić, opowiadać) i sprawia jej to przyjemność (co zresztą udziela się czytelnikowi), ale co jakiś czas popada w rodzaj pisarskiego narcyzmu, „nakręca” się, a nawet popisuje słowną żonglerką, co studzi nasz entuzjazm, bo widzimy rozpychające się w tym tekście „ja” autorki⁷. Jest ono zbyt natrętne, a przez to męczące. Nie chce być niewidzialne, raz za razem wychodzi na harc i wdaje się polemiki, wyrażając zastrzeżenia wobec raz jednego, a raz drugiego omawianego autora, poddając w wątpliwość etyczną te czy inne zjawiska lub postawy, a jakby tego było mało, co jakiś czas „wdzięczy się” przed czytelnikiem, popisując się przed nim swoim sprytem lub inteligencją, ustawiając go w roli kibica. To „ja” tak często sięga po argumenty o charakterze emocjonalnym lub osobistym⁸, że wypada mi powiedzieć, iż autorka ryzykownie napina cięciwę naukowości, przekraczając tradycyjne granice bezstronności i chłodu. Badacze pokolenia, które już przeszło na emeryturę lub zażywa wiecznego

⁷ Parę przykładów manifestacji autorskiego „ja”: „przy całym badawczym dystansie i krytycyzmie [...] jestem bardzo głęboko zżyta z bohaterami” (198); „wyobrażam sobie – ostrożnie, niechętnie – że takie hasła mogły znaleźć w [Bytnarze] oddźwięk” (205); „przecież nie przeprowadzam tego wywodu po to...” (227); „bardzo się staram, by nie używać jej [nazwy faszyzm] pochopnie” (246); „napisanie „w duchu” chrystianizmu jest w tym miejscu zabiegiem, z mojej strony, nieco asekuranckim” (253); „piszę to z rozmysłem” (263); „jak nam się powiedziało”; „nie jest może zbyt profesjonalnym przyznawać się do myśli, jaka towarzyszyła mi przy przystępowaniu do lektury, ale...” (485) itd., itd.

⁸ Nie czuję się komfortowo, gdy autorka rozwodzi się nad swymi hołubionymi czule od dzieciństwa uczuciami do bohaterów „Kamieni na szaniec”, zapewnia jak „bardzo głęboko jest z nimi zżyta i ma do nich stosunek osobisty” (w czym upatruje siłę tej książki, czego raczej uogólnić się nie da), a nawet demagogicznie wywodzi, że zignorowanie tego uczucia w jej rozważaniach „byłoby chyba bardziej „nienaukowe” niż przyznanie się do niego” (s. 198). To jedna z wielu emocjonalnych sztuczek, które pojawiają się w tej książce, a których obecność źle toleruję.

odpoczynku, takie zjawiska niepomiarne drażniły, więc je u swoich uczniów tępili, a w recenzjach doktorskich zwykle robili z tego „sprawę”. Mnie wchodzenie w poetykę eseju, a nawet publicystyki, nie drażni, sam to nieraz robię, ale gdy w tekście stricte naukowym, jakim jest dysertacja doktorska, persona autora (jego przekonania, gusty i temperament) stają się nadmiernie widoczne, także odczuwam opór.

Mam świadomość, że wytrząsnąłem ze swej recenzenckiej teczki pewną ilość trudnych kwestii, które można odbierać jak uwagi krytyczne. Chcę podkreślić, że w mojej intencji są raczej rodzajem uczciwej wymiany myśli, na jakie zasługuje ta ambitna i w wielu obszarach odkrywczą praca. Ograniczenie się do streszczenia i paru dobrze brzmiących komplementów było naturalnie możliwe, ale byłoby nie na poziomie (wysokim) tej dysertacji. Ona naprawdę zmusza do myślenia, każe literaturoznawcy dokonać rewizji myślenia o książce Kamińskiego, która była lekturą inicjacyjną wszystkich Polaków urodzonych po wojnie, a do szczególnej uwagi zmusza kogoś, kto również pisał o sprawach wojny i konspiracji w polskiej literaturze. Opracowanie Sobczak dotyka wielu kwestii traumatycznych, więc i moja recenzja nie może być tylko czułym głaskaniem po włosach. Bolesne sprawy z istoty swojej bołą, więc i dyskusowanie o nich też trochę boli. W końcu emocje są i po stronie autora, i po stronie czytelnika (recenzenta). Mówię to, bo zdecydowanie nie chciałbym, aby moje uwagi i spostrzeżenia, a w finale redaktorskie intuicje oraz prognozy, zaciążyły w jakikolwiek sposób na ocenie tej pracy, która – jak oświadczyłem na wstępie, a potwierdzam i na końcu – zrobiła na mnie spore wrażenie, zwłaszcza swą erudycją, intelektualną odwagą i analityczną werwą, bezkompromisowością w mierzeniu się z uświęconymi przekonaniem, którym się przeciwstawia, wreszcie precyzją w formułowaniu trudnych i bolesnych wniosków.

Z głębokim przekonaniem, że obrona tej rozprawy doktorskiej otworzy nową kartę kariery wiele obiecującej i uzdolnionej badaczki, wnioskuję o dopuszczenie mgr Kornelii Sobczak do dalszych etapów przewodu doktorskiego, a zarazem wyrażam przekonanie, że jej wyróżnienie (najlepiej nagrodą ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego) byłoby adekwatne do jej wartości.

Wrocław 1.06.2020



ps. Proponowałbym weryfikację informacji jakoby Keret House miał szerokość 152 metrów.